

Ustrój polityczny państwa polskiego – jaki obserwujemy m.in. w konwulsjach prezydenckich – został skonstruowany na łapu-capu przez – a jakże profesorów – zaraz na początku „transformacji”. Pierwszego prezydenta III RP wybrało w 1989 r. Zgromadzenie Narodowe – czyli połączone izby Sejmu i Senatu. Senat był wybrany w wolnych wyborach i kandydaci Solidarności zdobyli w nim 99 mandatów na 100. Za to Sejm był „układowy” i w nim PZPR miała 173 mandaty, a Solidarność 161 – wynikało to wprost z ordynacji wyborczej, która PZPR i partiom „sojuszniczym” gwarantowała pulę miejsc w Sejmie. W 1990 roku nastąpiła zmiana sposobu wybierania prezydenta i następcę Jaruzelskiego, czyli Lecha Wałęsę – wybraliśmy w wyborach powszechnych. Tak wybrany prezydent powinien dostać realne uprawnienia do rządzenia, powinien powoływać rząd, pełnić pełną władzę wykonawczą. Tak jak to dzieje się w państwach z systemami prezydenckimi np. we Francji czy w USA. Jednak ówczesny konflikt Wałęsy z obozem Adama Michnika sprawił, że Sejm stworzył dziwaczną hybrydę w istocie odbierając prezydentowi realne uprawnienia dając mu za to mnóstwo publicznych pieniędzy na paradowanie, obsadzanie swoimi zwolennikami stanowisk w Kancelarii Prezydenckiej, przecinanie wstęg, składanie wizyt itp.itd.



[Kliknij tutaj-czytaj całość](#)